



Kryminał z myszką

50

Urllop Huberta Gardy

Kazimierz
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz

URLOP HUBERTA GARDY

Kryminał z myszką – Tom 50

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-34-8

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: LTW, Łomianki 2013

SPIS TREŚCI

Prolog

Dwór nad rzeką

Rozmowy

Nocna przygoda

Tragiczny most

Trup w słońcu

Przesłuchanie

Tchnienie śmierci

„L.K.”

Wyścig ze śmiercią

Próba nerwów

Jak to było

Epilog

PROLOG

– Mam już tego dość...! – Zygmunt, zamiast rozdać karty, rzucił je z pasją na stół. – Chyba już na zawsze będę miał wyżej uszu brydża! – wstał gwałtownie od stołu i podszedł do okna. Jak długo można tak bez przerwy klepać kartami...?! Przecież to już trzeci dzień... – mówił odwrócony do nas tyłem, obserwując jednocześnie, jak za szybami mknął tuman śniegu gnany nieustannym wichrem, zasłaniając białą, pędzącą masą otaczający nas dziki, górski krajobraz, o którym mówiła nam tylko pamięć, bo nic tylko śnieg, śnieg kręcący się w locie, gnany wciąż wiatrem, uciekający w mleczną przestrzeń, był za oknami. To on trzymał nas tu, w tym górskim schronisku, skazując na nużące wyczekiwanie zmiany pogody.

Helena, żona Zygmunta, uniosła głowę znad trzymanyh w ręku kart.

– Czy nikt z was nie stuknie po głowie tego neurastenika?

Jednak Alicja przyłączyła się do buntu.

– Zygmunt ma zupełną rację – powiedziała, odkładając karty. – I ja mam już zupełnie tego dość...!

– Może zabawimy się więc w kucanego...? – mruknął Michał, zły, że gra została przerwana.

Towarzystwo nasze, uwięzione fatalną pogodą, składało się z ośmiu osób. Trzy kobiety i pięciu mężczyzn. Już trzeci dzień usiłowaliśmy kartami skracać nudę oczekiwania na to, by wreszcie straszliwa zawieja skrzyła kark.

– Mam pomysł! – rzuciła w pewnej chwili Helena.

– Wyobrażam sobie... – burknął od okna Zygmunt.

– Mam pomysł! – powtórzyła Helena. – Niech każdy z nas opowie dzieje swojej największej miłości! To przecież będzie bardzo ciekawe i zastąpi nam karty!

– Brawo! Istotnie pomysł doskonały! – poparła Helenę Alicja.

– Słusznie! I na pierwszy ogień niech idą wasi mężowie! – uzupełnił zgryźliwy jak zwykle Piotr.

– Mamy przecież między sobą pisarza – on powinien zacząć!

Teraz już i reszta towarzystwa poparła projekt Heleny. Kobiety, gdyż temat był dla nich zawsze atrakcyjny, mężczyźni z chytrym wyrachowaniem usunięcia się na dalszy plan.

Pogroziłem palcem swojej drogiej małżonce.

– Dobrze, zgadzam się – powiedziałem i przerwałem, gdyż przyszła mi do głowy pewna myśl. Po chwili ciągnąłem dalej: – Pod tym jednak warunkiem że nie będziecie mi przerywać. To zastrzeżenie dotyczy przede wszystkim mojej żony...

– Możesz być spokojny – Neta wyduła wargi w linię, która miała wyrażać pogardę – twoje nieczne kawalerskie sprawki mało mnie obchodzą...

– Ale chcemy prawdy, tylko prawdy, całej prawdy...! – wykrzyknęła Alicja.

– Będziesz ją miał, żarłoczny tłumie... – westchnąłem.

– Poza tym zaś – dodała Helena – mamy nadzieję, że historia, którą usłyszymy, nie będzie odbywała się zimą. To byłoby już nie do wytrzymania...!

– Nie. Wprost przeciwnie. Wypadki, które chcę wam opowiedzieć, miały miejsce właśnie w pełni lata. Działy się przed piętnastu laty, ściśle w roku 1938, i brał w nich również udział mój przyjaciel, już wówczas specjalista od trudnych spraw kryminalnych, czyli oficer policji porucznik Garda.

(Kątem oka spostrzegłem, jak źrenice Nety rozszerzyło zdziwienie.)

– Zyguncie, proszę, usiądź, bo później będziesz się kręcił i przeszkadzał – upomniała męża Helena, poprawiając się w fotelu. – Chodź, tu masz miejsce...

– A zatem rozdział pierwszy nazwę...

DWÓR NAD RZEKĄ

– Do Jastrzębiej Góry nie jedziemy – rzekł Hubert, podsuwając krzesło do stolika i ocierając chusteczką spocone czoło.

Odłożyłem na bok czytaną gazetę i utkwilem pytające spojrzenie w jego twarzy.

– Zaraz ci powiem, tylko odsapnę. Upał dziś straszliwy!

Rzeczywiście słońce prażyło niemiłosiernie. Siedziałem przy zasłoniętym markizą oknie, w jej dobrotliwym cieniu, a mimo to odczuwałem gorąco tego czerwcowego południa.

Garda przyszedł przed chwilą. Kropelki potu perliły mu się jeszcze na skroniach.

– Coś nieprzewidzianego?

– Właśnie. – Skinął na przechodzącego kelnera. – Oranżadę i wagon lodu!

Hubert miał rozpocząć w przyszłym tygodniu urlop, w związku z czym wybieraliśmy się nad morze. Nie lubię zmiany projektów w ostatniej chwili, toteż wiadomością tą, podaną w lakonicznej formie, byłem niemiłe zaskoczony.

Słuchałem jego opowiadania, obserwując przez wystawową szybę uliczny ruch.

– O dziesiątej zadzwonił do mnie Krenc, prosząc do swego gabinetu. Wchodzę i zastaję młodą parę. Ona lat dwadzieścia, blondynka, wspaniałe oczy, miły głos, bardzo ładna. On przystojny chłopak, sylwetka Anglika, brunet, suchy i elegancki. Siedzą po drugiej stronie biurka.

Hubert opowiadał po swojemu, lapidarnie, krótkimi zdaniem. Zresztą gorąco nie nastrajało do zbyt rozwlekłych opisów.

– Krenc przedstawia mnie i z kolei słyszę ich nazwiska: Janina Kolska i Zygmunt Chmura. Okazuje się, że jest siostrzenicą Krenca, młody człowiek to zdaje się jej narzeczony. Grubas wskazuje mi krzesło i prosi, żebym usiadł...

W trakcie dalszego opowiadania Gardy dowiedziałem się szczegółów rozmowy, która zdecydowała o zmianie naszych projektów, a jednocześnie kazała mi uczestniczyć osobiście w tragedii, rozgrywającej się w oślepiającym blasku słońca, wśród pachnącego, upalnego lata. I może właśnie dlatego, że tłem jej nie była szara dżdżystość jesiennych dni ani nie wtórowały jej podmuchy zimowego wiatru, przez kontrast piękna polskiej wsi, zielonej, pachnącej, rozśpiewanej świergotem ptaków i brzęczeniem pszczół, może właśnie przez to wydała mi się tym bardziej ponura, groźna, wstrząsająca.

Garda zajął jedno z krzeseł i milcząc, czekał, co mu powie nadinspektor.

– Kiedy rozpoczynasz urlop, Hubercie? – zagaił tenże rozmowę.

– Za pięć dni.

Krenc chrząknął wyraźnie zakłopotany.

– Masz już zapewne ustalone projekty?

– Owszem, wybieram się nad morze.

– Ehmm... – zwierzchnik zdawał się nie wiedzieć, jak poprowadzić dalej rozmowę.

Przewracał jakiś czas papiery na biurku z twarzą zaaferowaną, po czym przeniósł wzrok na Gardę. Było to niepowszednie. Hubert nigdy dotąd takim go nie widział. Był zawsze uosobieniem pewności siebie, zwięzłości, autorytatywności. Tym większe ogarnęło go zdziwienie, zmieszanie na poły z czymś w rodzaju przychylnego współczucia. Nie odzywał się jednak, ciekaw, co tamten chce mu powiedzieć.

– Chciałem cię prosić, czybyś ewentualnie... hm... oczywiście nie mogę tego wymagać, zwracam się tylko po koleżeńsku... Czybyś nie mógł zmienić zamiaru?...

Zatrzymał się i odsapnął.

– Czy jakaś nowa sprawa?

– Nie, to nie. Chociaż właściwie, kto wie?... Widzisz, nie chciałem zwracać się do kogoś innego w tej kwestii. Tym bardziej że sam nie mam jeszcze pewności, czy jest to istotnie takie ważne...

Był niezdecydowany. Przemógł się jednak i już zwykłym swoim, stanowczym głosem, ciągnął dalej:

– Nie mogę od ciebie wymagać, byś specjalnie w tym wypadku nagiął swoje prywatne sprawy do spraw zawodowych. Zdecydowałem się jednak prosić cię zupełnie prywatnie, po koleżeńsku, o wyświadczenie mi przysługi. Sprawa... trudno jest przedstawić rzeczowo, gdyż poza drobnymi na pozór wypadkami, nie mam żadnych konkretnych danych. Z drugiej strony, nie chciałbym lekceważyć najbliższych poszlak...

– O co chodzi?

– Zaraz ci wyjaśnię. Przede wszystkim chcę zaznaczyć, że rozmowa nasza ma charakter ściśle prywatny, nie ma bowiem dostatecznych danych, by nadać jej bieg urzędowy. W dodatku miejscowość, o którą chodzi, nie podlega mojej kompetencji. Jednak sprawa dotyczy osób ze mną spowinowaconych, a mianowicie Janki Kolskiej. Ulegając jej prośbom, obiecałem ewentualnie udzielić pomocy, chodzi mi jedynie o to, czy zechcesz wyrazić swoją zgodę, gdyż, jak zaznaczyłem, sprawa wydaje się mało realna i opiera się właściwie na domysłach. To były powody, dla których zwróciłem się właśnie do ciebie. Teraz oddaję głos Jance, może cię przekona.

Hubert nie przerywał zwierzchnikowi ani słowem. Perspektywa zmiany projektów i jemu nie bardzo się uśmiechała, zbyt jednak lubił Krenca, by nie wyświadczyć mu przysługi. Toteż stłumiwszy w sobie pierwszy odruch niechęci, postanowił zupełnie obiektywnie wysłuchać tego, co mu powie uroczą dziewczyną.

Przeniósł wzrok na nią i oczy ich spotkały się. Wytrzymała odważnie jego spojrzenie, aczkolwiek lekki rumieniec okrył jej policzki.

– Zacznę od początku – przemówiła – a moim zdaniem początkiem wszystkiego była śmierć mego ojca. Umarł w tym roku, w lutym. Lekarz stwierdził zgon z powodu wady serca, gdyż tatuś z sercem był zawsze nieszczerólnie. Ale ja do dziś nie mogę w to uwierzyć...

Urwała na chwilę, widocznie opanowana wzruszeniem, które jednak szybko w sobie stłumiła.

– Na zasadzie tego orzeczenia żadnych dochodzeń nie było. Nie mogłam z tym się pogodzić. Mam ciągle wrażenie, jakieś przeczucie, z którego pan się będzie na pewno śmiał, że komuś zależało na tej śmierci, że to zbrodnicza ręka pozbawiła go życia. Od chwili zgonu tatusia stale o tym myślę, stale trapi mnie niepokój i, przyznam szczerze – strach. Boję się ciemności, boję się samotności, mam ciągle wrażenie, że ktoś czyha również i na moje życie. Swoich podejrzeń nie zwracam w żadnym określonym kierunku – może więc będzie pan miał rację. Sama siebie dotąd za to karmiłam, myśląc, że to wina nerwów. Dopiero ostatnio zaszły wypadki, które wzmogły we mnie wewnętrzny strach, a początkowe przeczucia zamieniły nieomal w pewność... – urwała na chwilę.

Garda słuchał, nie spuszczając wzroku z twarzy dziewczyny, choć zdawał sobie sprawę, że ją to krępuje.

– Jakże to były wypadki?

– Może błahe, na mnie jednak zrobiły silne wrażenie. Orientuję się, że to, co mówię, nie wystarczy, by udać się do miejscowej policji. Czuję, że grozi mi niebezpieczeństwo, a Zygmunt z tego pokpiwa – zwróciła się do młodego człowieka z uśmiechem – ja jednak jestem uparta – dokończyła czupurnie. – Pierwszy wypadek – ciągnęła dalej – zdarzył się przed jakimiś dziesięcioma dniami. Od czasu śmierci ojca źle śpiam, budzę się często i nie mogąc zasnąć, wsłuchuję się w ciszę uspiętego domu. Pewnej nocy obudziłam się około drugiej. Już zaczynało dzień, toteż leżałam, nie zapalając świecy – elektryczności u nas nie ma. Upłynęło może z pół godziny, gdy w pewnej chwili usłyszałam za drzwiami jakiś szmer. Nie zdawałam sobie sprawy, co mogło być jego przyczyną, mimo to znieruchomiałam i ogarnęło mnie uczucie śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Szmer się powtórzył, był zupełnie słaby, ledwo uchwytny, a mimo to słyszałam go całkiem wyraźnie. Patrzyłam w stronę drzwi, błogosławiąc w duchu ostrożność, która kazała mi od śmierci ojca stale zamykać je na klucz. I oto spostrzegłam, że klamka poruszyła się raz, potem drugi... Krzyknęłam przerażona: „Kto tam?!”. Nikt mi nie odpowiedział, usłyszałam tylko cichy odgłos jak gdyby szybko uchodzących kroków. Naturalnie nie spałam już do rana.

Drugi wypadek zdarzył się przed paru dniami. Tym razem kroki usłyszałam zawczasu. Były ciche, skradające się. Ktoś szedł, przystając co chwila, jak gdyby się czał. Przerażona do ostatnich granic krzyknęłam, ale otworzyć drzwi i wyjrzeć na korytarz zabrakło mi odwagi. Spojrzałam na zegarek – było wpół do drugiej. Miałam tego dość. Aczkolwiek Zygmunt ustosunkował się do tych wydarzeń dość sceptycznie, postawiłam na swoim i wybrałam się do wuja, by podzielić się z nim swymi obawami i usłyszeć jego opinię.

– W jakich okolicznościach umarł pani ojciec? – spytał Garda.

– Rano znaleziono go martwego na podłodze w sypialni. Leżał przy toalecie. Musiał właśnie skończyć się golić, gdyż rozpylacz od wody kolońskiej znajdował się obok niego, a twarz jeszcze była wilgotna.

– Kto go znalazł?

– Macocha. Jedliśmy właśnie śniadanie na dole w jadalni i ktoś wyraził zdziwienie, że tatuś się spóźnia. Poszła więc dowiedzieć się, co robi.

– Czy podzieliła się pani spostrzeżeniami z kimś innym?

– Nie. Przygnębiona nagłą śmiercią ojca nie zastanawiałam się nad tym wszystkim. Refleksje przyszły dopiero później.

– Czy sekcja zwłok była robiona?

– Nie.

Hubert zamilkł i zabrał głos Krenc.

– Rozumiesz teraz moje obiekcje. Powodów za mało, mogą to być przewidzenia. Ale gdyby się coś stało, nie darowałbym sobie braku ostrożności. Dlatego chciałem posłyszeć twoją opinię i decyzję. Twoja ewentualna rola będzie wymagała dużego wyczucia sytuacji i subtelności poczynań, gdyż nie możesz, rzecz prosta, występować w urzędowym charakterze. Zadanie trudne, a nie widzę odpowiedniejszego człowieka od ciebie...

Zamilkł, czekając, co powie Garda. Ten zastanawiał się krótko i odpowiedział: „Dobrze, pojedę”.

– Mam zaproszenie i dla ciebie – zakończył opowiadanie: – ja będę adwokatem, kolegą tego Chmury, ty możesz wystąpić po prostu jako pisarz, gdyż na pewno znają twoje nazwisko. Jedziemy na zaproszenie Chmury spędzić parę tygodni wśród zapachu róż i krowiego mleka...

– O, do diabła! – rzuciłem, jeszcze trochę zły, aczkolwiek ciekawość zaczęła brać górę.
– A jakie jest twoje zdanie o tej całej historii?

– Trudno w takich wypadkach mówić coś konkretnego bez narażenia się na śmieszność. Wyrobię sobie sąd dopiero po pewnym czasie. Mam jednak wrażenie, że nie wszystko tam jest w porządku, i kto wie, czy nie przydamy się na coś.

Jak prorocze były to słowa, pokazał dopiero czas.

– Bez tego wrażenia – odparłem – twoja, jak mi się zdaje, dość pochopna aprobata nie miałaby sensu.

– Pojechałbym i tak. Ostatecznie wszystko jedno – morze czy wieś, a widziałem, że grubasowi zależało na mojej zgodzie.

– Taki stary wyga, a tak łatwo uległ sugestiom młodej dziewczyny? – wyraziłem zdziwienie.

Garda jakiś czas sączył oranżadę w milczeniu.

– Sądzę, że bardzo ją kocha – rzekł wreszcie – był przy tym wszystkim nieporadny jak niedźwiedź.

- Co to za majątek?
- Nazywa się Klonowo. Podobno duży dwór.
- Czyja własność?
- Kolskich. Było ich dwóch braci. Michał i Zenon; teraz jest tylko ten drugi. Majątkiem kierował Michał, brat zaś prowadził na Śląsku fabrykę. Bogaci ludzie. Poza majątkiem i fabryką mają jeszcze jakieś udziały w kopalniach węgla. Zenon przyjeżdżał co jakiś czas, ale raczej rzadko. Podczas śmierci brata był tam również.
- Jest i teraz?
- Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym – rzekł wolno. – Owszem, jest.
- Kto jeszcze tam bawi?
- O ile wiem, z gości nie ma nikogo. Poza Zenonem, córką Michała i jej narzeczoną, którego poznałem, a który, mówiąc nawiasem, jest sekretarzem i prawą ręką Zenona, mieszkają tam stale: wdowa po zmarłym z dwunastoletnim synem z pierwszego małżeństwa, matka obecnej pani Kolskiej, zarządzający majątkiem i nauczyciel chłopca.
- Matka panny nie żyje?
- Umarła kilkanaście lat temu.
- Kiedy Michał ożenił się po raz drugi?
- Dwa lata temu, z jakąś wdową po lekarzu.
- Masz o nich jakieś wiadomości?
- Nie dopytywałem się. Wolałem nie sugestionować się zawczasu. Będziemy mieli przez to bardziej świeże i obiektywne wrażenia.
- No, to dość. Zresztą za gorąco na dłuższą rozmowę.
- Więcej tego tematu nie poruszaliśmy.

* * *

Wyjeżdżaliśmy rano samochodem Huberta. Długa, sportowa maszyna wyrwała się spośród domków przedmieścia i pędziła wśród rozległych pól z jednostajnym, donośnym wyciem motoru. Garda siedział przy kierownicy, wpatrzony w zwężający się na horyzoncie, prosty jak strzeł, jasny pas szosy.

W jednym z większych miast urządziliśmy sobie postój, chcąc przeczekać żar południa. Pozostawało nam zgodnie z objaśnieniami Chmury jeszcze około stu kilometrów, toteż ruszyliśmy dopiero przed zachodem słońca.

Znów szosa i znów pęd.

Wyciągam samochodową mapę i krzycząc, informuję Huberta. Zwalnia biegu, potem zatrzymuje zupełnie maszynę.

W bok prowadzi szeroka, polna droga, a na skrzyżowaniu biała tablica objaśnia: „Do Klonowa – 4 kilometry”.

Skręcamy i jedziemy zupełnie wolno. Słońce już się nieomal schowało. Piaszczysta droga ciągnie się pod górę. Jesteśmy już u szczytu wzgórza i raptownie roztacza się przed nami wspaniały widok.

Stok łagodnie schodzi w dół, gdzie w nagłych skrętach, tworząc ściśniętą literę S, wije się pośród szuwarów i mokrych łąk – rzeka.

Droga przecina ją trzema mostami. Z drugiej strony, na przeciwległym wzgórzu, pomiędzy gąszczem drzew rozsiadł się dwór. Dom mieszkalny wyraźnie jest widoczny. Białe ściany tchną teraz ciepłym różem, a okna połyskują czerwienią.

Wstęga rzeki mieni się również czerwienią, przechodząc gdzieś w ciemny fiolet lub jasną różową szklistość. Opadamy w dół. Mosty są stare i mam wrażenie, że chwieją się pod samochodem. W szczelinach drewnianych belek, w przepastnej głębi, błyska niebieskawo lustro wody. Mijamy je jednak szczęśliwie i wpadamy przez potężną bramę w akacjową aleję.

U jej wylotu widnieje ganek o czterech kolumnach i otoczony żywopłotem kwietnik. Zatrzymujemy się przed podjazdem. Dom okazały, piętrowy, z dużym gankiem, nad którym wisi balkon podparty kwadratowymi kolumnami. Parę okien świeciło się już żółtymi plamami.

Wysiedliśmy i w tej chwili ukazał się na ganku młody człowiek, w którym, sądząc po opisie Huberta, poznałem Chmurę. Za nim wysunął się stary służący. Z obojętną miną, nie zwracając na nas zupełnie uwagi, począł wyciągać nasze walizy.

Garda dobrze opisał Chmurę. Był to istotnie przystojny, szczupły mężczyzna, o czarnych, gładko przczesanych włosach i suchych, regularnych rysach twarzy. Ubrany w szare, dobrze skrojone ubranie, robił wrażenie dżentelmena z angielskiej pocztówki.

– Nareszcie panów widzę. Dobry wieczór, panie mecenasie! – zwrócił się do Gardy, od razu wchodząc w umówioną rolę. – Cieszę się, że był pan łaskaw również przyjąć zaproszenie – zwrócił się do mnie.

Skierowaliśmy się w stronę otwartych drzwi. W tej chwili na progu stanęło uroczne zjawisko.

Janka była wysoką, zgrabną blondynką. W ostatnich promieniach słońca włosy jej paliły się miedzią i złotem. Nastąpiło przywitanie, po czym weszliśmy do domu. Stary służący zjawił się z kandelabrem, z którego cztery świece rzucały tańczące, niepewne światło.

Ujrzałem zarysy schodów, a głowy dwóch dzików nad drzwiami, oprawione w dębowe ramy, wyszczerzały krzywe kły.

Wieszaki zastępowały sarnie rogi, rzędem przymocowane do jednej ze ścian ponad drewnianą, ciemną, szerniałą ze starości boazerią. Zdjęliśmy płócienne płaszcze.

Z lewej strony, przez otwarte szeroko drzwi, padała z jasno oświetlonego pokoju smuga światła.

– Po podróży będą panowie zapewne chcieli umyć się i przebrać, proponuję więc, by Piotr zaprowadził panów do ich pokoju. Czekamy z kolacją – rzekł Chmura.

– Dziękujemy – odparłem w swoim i Huberta imieniu. – Istotnie, jesteśmy zakurzeni.

– Służę panom – rozległy się za mną słowa wypowiedziane głuchym, dudniącym głosem.

Obróciłem się gwałtownie.

Bezzębne usta sługi zacięły się już w wąską linię. Przyjrzałem mu się dokładnie. Był chudy jak szczapa, o zapadniętych, kościstych policzkach, głęboko osadzonych oczach, których teraz od padających z czoła cieni zupełnie nie było widać – zamiast nich czerniły się dwie plamy oczodołów, upodabniając twarz do trupiej czaszki. Gładki, łysy, bez jednego włosa czerep potęgował to podobieństwo. Wzdrygnąłem się mimo woli. Famulus skierował się ku schodom. Powłóczył nogami, zginając je w kolanach, a zgarbione plecy dopełniały wrażenia, jakie wywarła na mnie jego dziwna sylwetka.

Poszliśmy za nim. Szerokie, wygodne schody łagodnym skrętem prowadziły na piętro. Wyszliśmy na korytarz. Po kilku metrach skręcał pod kątem prostym i ciągnął się, sądząc z jego długości, wzdłuż całego domu.

Nasza sypialnia była ostatnia po prawej stronie. Służący wszedł ze światłem pierwszy, my za nim. Postawił świecznik na okrągłym stole, a sam cofnął się ku drzwiom.

Rozejrzałem się po pokoju.

Był duży, o dwóch oknach zasłoniętych firankami. Dwa ogromne łóżka przy przeciwległych ścianach, szeroka szafa, okrągły stół, toaleta, staromodna kanapa. W rogu umywalnia i wieszak na ręczniki za małym bambusowym parawanikiem.

Stary widać obserwował mnie, gdyż idąc śladem mego spojrzenia, odezwał się:

– Łazienka jest na przeciwległym końcu korytarza. Czy każe pan przygotować kąpiel?

– Macie tu kanalizację? – rzuciłem zdziwiony.

– Nie. Wodę pompuje się ręcznie. Łazienkę zbudował rok temu świętej pamięci pan Michał, jak panienska wróciła z pensji.

– Kąpiel za długo będzie trwała – zdecydował Hubert – wystarczy nam chwilowo miednica. Wody chyba nie zabraknie?

– Jak zabraknie, proszę zadzwonić, wskazał krótkim ruchem ręki taśmę dzwonka.

– Zatem dziękuję – Garda odprawił monstrum.

Walizy nasze już tu były. Rozpakowaliśmy je naprędce i po półgodzinie schodziliśmy na dół odświeżeni, przebrani i wściekle głodni.

Charakterystyczną cechą tego starego domu, pierwszym wrażeniem, jakie na mnie sprawił, była mroczność jego wnętrza. Później światło słonecznych dni znacznie to wrażenie zatarło, nie na tyle jednak, bym zupełnie pozbył się tego pierwszego przykrego uczucia. Wróciło spotęgowane do maksimum późniejszymi wypadkami, chwilowo jednak daleki byłem od jakichś złowrogich przeczuć.

Ludzie miasta są przyzwyczajeni, by mrok pokoju ustępował za jednym ruchem ręki, przekraczającej kontakt. Elektryczność rozbłyskuje nagle i światło rozpędza od razu czającą się ciemność, czyni wszystko widocznym, niedwuznacznym.

Jakże inaczej było tutaj. Zgasiwszy świece, wyszliśmy na korytarz i od razu ogarnęły nas nieprzeniknione ciemności. Hubert wyciągnął zapalki i przy świetle chybotliwego płomyka ruszyliśmy przed siebie. Po minięciu korytarza, w refleksach światła z otwartych na dole drzwi, ujrzeliśmy zarysy poręczy schodów i stopni. Doleciał nas gwar rozmów.

Pokój na lewo od głównego wejścia był jadalnią. Zastaliśmy tam całe towarzystwo.

Zygmunt Chmura przedstawiał nas kolejno.

Na końcu długiego zastawionego obficie stołu siedziała starsza siwowłosa pani. Żywe spojrzenie dużych oczu o młodzieńczym nieomal blasku stanowiło dziwny kontrast z białymi, gładko przyczesanymi włosami i zwiędniętą skórą policzków.

– Pan Jerzy Wydma – przedstawił mnie Chmura.

Pani nazywała się Aniela Malczykowa i była matką obecnej pani Kolskiej. Z jej prawej strony siedział tęgi, okazały mężczyzna, z lewej korpulentna kobieta, której regularne rysy twarzy zaczynały zataczać się w warstwie tłuszczu. Oczy pod grzywą ciemnych włosów były jednak wyjątkowo piękne i wyraziste. Ciemnopiwne, z jasnymi plamkami, miały w sobie senny wyraz zmysłowości. Podała mi wypielęgowaną, upierścienioną dłoń. Lukrecja Kolska – wdowa po Michale, jak się dowiedziałem od Chmury. Mężczyzna siedzący z prawej strony pani Anieli, był to brat zmarłego, Zenon. Miał nalaną twarz z małym, okrągłym nosem, uzbrojonym binoklami w złotej oprawie, pełny podbródek i nieomal kobiece w rysunku usta. Dłoń była tłusta i lekko spocona.

Przy Kolskiej siedział chłopak o twarzy pokrytej rżęsiście piegami, zadartym, krótkim nosie i szerokich, dużych ustach. Ładne oczy, niepasujące do tej zdecydowanie brzydkiej twarzy, miały w sobie jednak wyraz skrytej złośliwości. Nad niskim czołem sterczała strzecha sztywnych, niesfornych, jasnych włosów. Był to Zbyszek Górski, syn Kolskiej z pierwszego małżeństwa.

Przy nim zajmował miejsce Czesław Runo, korepetytor chłopca. Młody człowiek lat dwudziestu kilku, blondyn o regularnych rysach nieciekawej twarzy, czerwonej od słońca i błyszczącej.

Za nim siedziała Janka i Chmura. Z drugiej strony stołu, obok Zenona Kolskiego, stały dwa wolne krzesła, przeznaczone widać dla nas.

Zajęliśmy miejsca.

– Jakże przeszła panom droga? – zagaiła rozmowę pani Aniela, zwracając się do Huberta.

Przypuszczałem, że taki będzie początek rozmowy i uśmiechnąłem się w duszy.

– Dziękuję. Zupełnie dobrze.

Hubert nie lubił zdawkowej konwersacji, toteż z konieczności musiałem podchwycić wątek.

– Z powodu upału musieliśmy zrobić dłuższy postój. Na ogół dzięki pogodzie jazda była bardzo przyjemna.

– Tak, to nie to co kolej – starsza pani skinęła na służącego, dając mu niemy znak. Ten przysunął się do mnie z półmiskiem. Uwolniło mnie to na razie od odpowiedzi.

– Jednak samochód męczy więcej niż kolej – wtrącił uwagę Zenon Kolski.

Zaległo chwilowe milczenie, gdyż wszyscy zajęci byli jedzeniem. Jak skonstatowałem, apetyty na ogół służyły. Najmniej jadł i najszybciej odłożył sztucze Runo.

Obserwowałem całe towarzystwo. Myślałem, że Hubert pójdzie za moim przykładem, jednakże zdawał się być pochłonięty całkowicie zawartością swojego talerza, nie nawiązując z nikim rozmowy, jak zwykle zamknięty w sobie i milczący.

– Mamo – rozległ się raptem cienki głos Zbyszka – czy ten pan – tu bezceremonialnie wysunął w moim kierunku niezbyt czysty palec – jest detektywem?

Nastąpiło ogólne przykre poruszenie.

– Zbyszku! – krzyknęła matka. – Jesteś niemożliwy! Muszę się za ciebie wstydzić!

– Bo tak mi się przypatrywał. Hi... hi... hi... – zarechotał.

– Bardzo pana przepraszam... Zbyszek jest jak zawsze nieznośny! – Pani Kolska była zmieszana. – Czytuje same kryminalne powieści i ciągle sobie wyobraża, że sam jest detektywem.

– Nie dostanie za to po kolacji truskawek – zaopiniowała babka.

– Dużo sobie z tego robię! W ogrodzie jest więcej! – Chłopiec wydał pogardliwie usta.

Aby zorientować się lepiej w otoczeniu, a zarazem powodowany pewnego rodzaju złośliwością, zaryzykowałem małą próbę:

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI